

Kronika tygodniowa.

Miesiąc maj, który przy Boskiej pomocy rozpoczęliśmy, uważany bywa przez wielu za najkrótszy miesiąc w roku, a to z tego powodu, ponieważ nazwa jego składa się tylko z trzech liter, choć liczy kalendarzowo dni trzydzieści jeden. Poeci uważają go za miesiąc miłości, smakosze za okres rzadkiewek i bryndzy majowej, która jak rok długi towarzyszy inteligentom pracującym umysłowo. Chwalą sobie go wszyscy, żyjący ze stałych miesięcznych dochodów, a czujący potrzebę wytchnienia po ciężkiej pracy, bo na każdy tydzień przypada przeciętnie po dwa święta, a zaczyna je szczególnie międzynarodowe święto pracy, czczonej próżniactwem, a przypadające na dzień pierwszego maja. Za niem idzie święto narodowe w dniu trzeciego maja, piątego niedziela, ósmego krakowskie święto, jako dzień imienin św. Stanisława, potem Wniebowstąpienie i tak dalej aż do Bożego Ciała. Zbytnio nikt się zatem nie zmęczy, mając tyle urzędowego wypoczynku i z tego punktu zapatrywania wychodząc, nie mielibyśmy nic przeciwko temu, aby uroczystość św. Stanisława połączono z dniem trzeciego maja, jak nam to sygnalizują z Warszawy, ale krakowskie tradycje każą się temu sprzeciwić. Warszawa obdarzyła nas w kwietniu świętem Zwiastowania, w maju chce nas pozbawić święta, z którym się Kraków żył i jakoś dziwnie wyobrażałby sobie miesiąc maj bez niego.

Przyroda cała, choćby nie chciała, jest majowo usposobiona, ludzie również, a odbija się to niekorzystnie przede wszystkim na polityce i dlatego to tak trudno ulepić ową większość sejmową prawicowo-piastowską, która już tydzień temu miała oglądać światło dzienne, a do końca kwietnia nie została jeszcze zrealizowaną. Zbliża się wprawdzie okres odrywania się gór lodowych od bieguna północnego i ich podróży na południe, co się przyczynia do obniżenia temperatury w Europie, nie powinno jednak wpływać ujemnie na oziębienie stosunków między obu przyszłymi współnikami. W grę wchodzi tu raczej reforma rolna, bo chadecja decyduje się na zbyt małe ustępstwa, a jej członkowie, należący do grupy większych agraryuszy, postanowili raczej opuścić szeregi swego stronnictwa, aniżeli przyjąć postulaty ludowców, którzy na pierwszym miejscu stawiają przeprowadzenie reform rolnych w duchu jak największych korzyści dla ludności małorolnej i bezrolnej, choćby nawet ze szkodą dla ogółu.

O ten szkopolu rozbijają się też wszelkie dotychczasowe rokowania, rozpoczęte w Krakowie a przeniesione następnie do Warszawy, w łonie samego Piasta kipi także i zanoszą się na rozłam w tym obozie. Większość jest wprawdzie za projektem Witosy, mniejszość Dąbskiego jest jednak tak liczna, iż w razie ewentualnego rozłamu i jej secesji, klub Piastowców utraciłby dotychczasowe swe znaczenie, a proponowana większość z chadecją, skróconą o poznańskich agraryuszy, stałaby się bardzo problematyczną.

Zdawało się, że konsolidacja stronnictw, wychodzących z zasady prawnopanstwowości, nie powinna być natrafiać na tyle trudności, pokazuje się przecie, że interesy własne poszczególnych stronnictw w grę wchodzących są poważniej traktowane, niż, by miały ustąpić ogólnemu, za jaki uznano konieczność utworzenia większości sejmowej, na której mógłby się oprzeć rząd, mający pretensje do rządzenia, a nie pozwalający się wodzić za nos pierwszemu lepszemu z pośród tych, którym zależy na tem, aby Polska była w samej rzeczy państwem sezonowym. Grupy lewicowe i mniejszości narodowe przyjęły też z żywym niezadowolaniem wiadomość o proponowanej konsolidacji prawicy z Piastem, gdyż kończyła się w ten sposób rola, jaką zwłaszcza te ostatnie odgrywały dotąd w Sejmie, stanowiąc jęczyzek u wagi, przechylający się w tę stronę, w którą się im podobało. Jak na tem wychodziły interesy ogólnopanstwowe, widział każdy, kto bacznie obserwował bacznie bieg wypadków, rozgrywających się na terenie warszawskim, nie dziw więc, że z żywym zadowoleniem przyjęto do wiadomości, iż tworzy się nareszcie większość, choćby nawet tak jeszcze niepewna, jak

zapowiedziana. Zrzędy też miny panów posłów z mniejszości narodowych, dotąd tak pewnych siebie, natomiast nie jest wykluczonym nowy kompromis, o jakim na razie jedynie przebąkują, ale świadczący niezbicie, że i w gronie mniejszości narodowych zanoszą się na pewne przegrupowanie i że część jego wejdzie ewentualnie w skład przyszłej większości na wypadek wyłomu, uczynionego w niej przez Poznańczyków i zwolenników Dąbskiego.

Wobec kłopotów, -akich nastęrczyło tworzenie większości, odpadła wątpliwość, jakiego użyć środka, aby dotychczasowemu rządowi dać do zrozumienia, że nadszedł czas podania się do dymisji, z chwilą bowiem utworzenia się większości u steru powinien znaleźć się gabinet, z niej wyłoniony. Wystarczyłoby wprawdzie wyrażenie przy pierwszej lepszej sposobności braku zaufania, z czego rząd musiałby wyciągnąć konsenkwenecje, ale gabinetowi Sikorskiego, który spełniał swe obowiązki wcale poprawnie i to w czasach bardzo ciężkich, chciano oszczędzić tej pigułki. Na razie rzecz jest w zawieszeniu, dopóki bowiem większość nie stanie na silnych nogach, o tworzeniu się nowego rządu, na niej opartego, mowy być nie może.

Ta część mniejszości narodowych, czy wyznaniowych, która wejdzie w skład przyszłej większości, nie uczyni tego z pewnością ze względów ideowych, bez realnych dla siebie korzyści, czyli, że gdzie dwu się bije, a choćby tylko kłóci, tam trzeci korzysta.

Ta pierwsza sprawa, odłożona z poprzedniego tygodnia, nie zatem nie straciła, otrzymując tak zwanego „szybera“, w chwili, gdy to piszemy, wiadomo tylko tyle, że Witos i jego projekt zdobyli w klubie Piastowców większość, a także i dwa kluby prawicowe aprobowały jednomyślnie starania swych przyradyów w sprawie utworzenia sejmowej większości, rokowania jednak ciągną się w dalszym ciągu, a właściwie się przeciągają, bo co chwila wyłazi jakieś nowe sztydło z worka i dziurę trzeba łątać, a sztydło usuwać.

Także i druga sprawa, t. j. bomba przed domem rektora uniwersytetu, Natansona, przez cały tydzień nie posunęła się ani kroku naprzód. Z urzędowego komunikatu dowiedzieliśmy się tylko tyle, że w samej rzeczy ktoś coś podłożył i to coś wystrzeliło, robiąc dziurę w drzwiach, ale kto był sprawcą domniemanym zamachu i jakie były jego motywy, to pytanie pozostawiono rozstrzygnięciu własnej domyślności każdego. Wyleciały szyby w kilku sąsiednich kamienicach, czy zaś w następstwie wyleci z posady jaki dygnitarz, mający na pieczy bezpieczeństwo publiczne, to dopiero przyszłość pokaże, a na wynik trzeba będzie długo czekać, gdyż nasze władze bezpieczeństwa i porządku publicznego zorganizowane są na sposób angielski i dlatego nie można się dziwić, że odznaczają się prawdziwie angielską flegmą, przynoszącą im prawdziwy zaszczyt w dzisiejszych gorączkowych czasach, gdy cały świat żyje tylko nerwami.

Ministerstwo spraw wewnętrznych wyznało milion marek nagrody za wykrycie sprawców zamachu, nie należy się jednak spodziewać, aby tenże zgłosił się dobrowolnie, zachęcony wysokością wynagrodzenia, bo i cóż dzisiaj wart jest milion marek?... Jeśli zaś nie zgłosi się sam, trudno przypuszczać, aby go wysłędzono, skoro się to dotąd nie stało.

Quot capita, tot sensus!... Ile głów w Krakowie tyle też domysłów, kto podłożył bombę i w jakim celu. Ludzie prześcigają się w wynajdywaniu przypuszczeń, a są one nieraz tak fantastyczne i wzajemnie się wykluczające, że zajmowanie się niem już się sprzykrzyło, a sprawa bomby schodzi powoli z uwagi ogółu i najprawdopodobniej do tygodnia najdalej pójdzie w zupełną niepamięć. Jedni są zdania, że sprawcami zamachu byli komuniści, inni natomiast twierdzą, że to dzieło narodowych demokratów. Inna wersja łączy ją ze sprawą *numerus clausus* na naszych uniwersytetach, choć w tej sprawie rektor Natanson decydującego głosu nie zabierał. Nie brak także i takich, którzy przypuszczają, że to zemsta bojówki niemieckiej za nadanie generałowi Le Rondowi honorowego doktoratu prawa przez krakowski Uniwersytet. Z innych pobudek, jakie mogły skłonić kogoś do podobno hucznej owacji, choć nie wiadomo na czyją cześć, gdyż łatwo mogła być skierowaną pod adresem mieszka-

jącego obok prezydenta miasta Krakowa, najbardziej jeszcze do przekonania ogółu przemawia hipoteza, że było to dzieło krakowskich szklarzy, narzekających na zastój w swym przemysle i starających się wszelkimi siłami o jego ożywienie.

W każdym razie zrobiłby dobrze i sobie i Krakowowi autor zamachu, gdyby się zgłosił dobrowolnie, rozprószyłby bowiem niepewności, dostałby milion gotówką, a nie naraziłby się na zbyt ciężką odpowiedzialność, choćby bowiem został nawet i skazany na karę więzienną, mógłby stamtąd albo uciec, albo otrzymać urlop, co jest teraz w modzie. A Krakowianie wówczas spaliby spokojnie, bo dziś na niejednym drzy ze strachu skóra, gdy mu przyjdzie na myśl owo mądre zdanie filozofa: „Co dziś tobie, jutro mnie!“ A takich, których bomba przeraża u nas, jak zresztą i wszędzie, nie brak, bo i któż dzisiaj nie trudni się paskiem?... Chyba taki, który zrezygnował już ze wszelkich przyjemności życia i nie pragnie sobie go urozmaicić, nie mając do tego uzdolnienia lub sposobności, ewentualnie warunków aby takie urozmaicenie przeprowadzić, choćby nawet z krzywdą i szkodą innych. A jeśli „mściciele“ mogli w Łodzi grozić terrorem tamtejszym paskarzom, mogą tak samo postąpić i krakowscy, przerażenie zatem wśród naszych paskarzy, lichwiarzy i waluciarzy jest zupełnie uzasadnione. Jeśli się zaś zważy, że niema domu w mieście, w którymby bodaj jeden taki ananas nie mieszkał, perspektywa dla reszty Bogu ducha winnych obywateli niezbyt ponętna, ani się oglądnie ten lub ów, a obudzi się pewnego poranka nieboszczykiem, który wyleciał w w powietrze, choć na to zupełnie nie zasłużył.

Gdy tak jedni lecą w górę, inni znowu spadają na dół, co dotyczy zwłaszcza tych, którzy idąc za postępem czasu, używają przejażdżek drogą powietrzną.

Dotyczy to trzeciej sprawy, odłożonej z poprzedniego tygodnia, t. j. katastrofy samolotowej, której widownią był Kraków w ubiegłym miesiącu. I ona przez odłożenie jej na później nie ucierpiała, gdyż dotąd wiemy akurat tyle, ile wiedzieliśmy w dniu wypadku, t. j., że się ma tu do czynienia z *vis major* wobec której wszelkie ziemskie potęgi są bezsilne.

Jeśli się zaś doda do owej *vis major*, że nasza eskadra lotnicza używa aparatów, zakupionych przez nasz rząd z włoskiego demobilu, łatwo zrozumieć, iż nieszczęśliwe wypadki mogą się przydarzać, bo chyba rząd włoski nie sprzedał tego, z czego jeszcze mógł korzystać. Kto zaś winę ponosi, czy ci, którzy kupili bezwartościowy materiał, czy inni, którzy pozwolili mu się zepsuć w drodze, (przymusowy dłuższy postój w Czechach), czy też wreszcie kto inny, to może wykazało lub wykaże śledztwo, ale ogół nigdy się o tem nie dowie. Na razie odnieśliśmy z tego jedną korzyść, od kilku tygodni nie szybują ponad miastem samoloty i obywatele chodzą po mieście i kładą się spać bez obawy, że coś podobnie niepożądanego, jak naprzykład samolot ze złamanym skrzydłem może spaść im na głowę, a to do przyjemności nie należy. Dawniej wpadały od czasu do czasu na przechodniów gzymsy odrapanych kamienic, w ostatnich czasach przyłączyły się do tego i samoloty. Największy z tem kłopot, gdzie właściwie należy mieszkać, aby stosunkowo cało wyjść z podobnej nieprzyjemności. Mieszkanie na trzecim piętrze przedstawia oczywiście najwięcej niebezpieczeństwa, bo tam spadający samolot składa swą pierwszą wizytę, ale również niepewnymi życia są i mieszkańcy dalszych pięter, a choćby nawet i piwnicy, nowoczesna bowiem sztuka budowania polega na tem, że, jeżeli dom się wali, to od razu cały, od dachu począwszy, na parterze skończywszy. Całe szczęście, że dom przy ulicy Lubicz, na który spadł samolot, był przedwojenną rudera, załamał się bowiem tylko strych i górne piętro, reszta jakoś się ostała, nowomodny zaś „drapacz“ byłby z kretelem poszedł w gruzy.

Pozbywszy się zatem zaległości z poprzedniego miesiąca, następną już kronikę będziemy mogli w pełni poświęcić uastrojowi majowemu i wszelkim z nim połączonym przyjemnościom, jak rzodkiewka, młoda cebulka i inne podobne specjały, dostępne dzisiaj tylko wybrancom a większości z nas znane tylko ze wspomnienia. Pan minister Grabski obiecuje wprawdzie, że złoty polski poprawi sytuację, ale prawdopodobnie... w maju, oczywiście nie bieżącego roku.